

LECH MRÓZ 

Uniwersytet Warszawski

„Teraz ci powiem”. Praktykowanie przekraczania granic

Wojciech Bęben jest badaczem terenowym szczególnego rodzaju. Nim stał się kimś, kto uprawia etnografię terenową w obszarze bardzo odmiennym kulturowo od tego, w jakim dorastał, nim stał się etnografem, został księdzem. Zdecydował nie być plebanem, ograniczonym decyzjami hierarchów i granicami mniej lub bardziej intratnych parafii. Wstąpił do zakonu misyjnego, wybierając pobyt w miejscu odległym od domu, od bliskich i znanej kultury, w miejscu oddalonym tysiącami kilometrów i wymagającym nauczenia się życia niejako od nowa – nieograniczonego jedynie do nauki języka, lecz wymagającego poznania i nauczenia się miejscowej kultury, jeśli jego misyjna praca i wyjazd miały mieć sens.

Nie wiem, czy wtedy narodził się w nim etnograf i badacz, czy już wcześniej zaczytywał się książkami o odkryciach geograficznych, podróżach, dalekich krajach i żyjących tam ludach. Na tyle jednak pochłonęła go potrzeba poznawania, że doprowadziła nie tylko do uzyskania kolejnych stopni i tytułów naukowych, łącznie z profesurą, lecz także do stworzenia Zakładu Etnologii i Antropologii Kulturowej w Uniwersytecie Gdańskim i kierowania nim przez kilka lat. Swoją wiedzę i praktykę terenową dwudziestu lat pracy badawczej zawarł w książkach i wykładach. Nie wiem, jakim był misjonarzem, nie mam kompetencji ani ochoty, by rozważać tę jego działalność. Lecz wiem, że był uważnym obserwatorem i świetnym badaczem, świetnym etnografem-terenowcem.

Świadomość jego doświadczenia terenowego onieśmiela, gdy mam podjąć próbę pisania o własnym. Nie spędziłem dwudziestu lat w badanej społeczności i w terenie. Nawet, jeżeli sporo czasu w sumie, nie było to przecież dwadzieścia lat długich pobytów.

Prolegomena

Pisanie o praktyce terenowej i doświadczeniu z niej płynącemu ma charakter osobisty. Trudny do porównania z doświadczeniem i praktyką innych autorów tego tomu. Każdy dochodził własną drogą, własnym sposobem i umiejętnościami do poznawania terenu, rozmówców i życia wybranej społeczności. Ten wybór i droga własna podporządkowane były także okolicznościom, w jakich każdy badacz terenowy miał możliwość działania. Są w doświadczeniu moim, i zapewne także innych autorów, sytuacje, które dotyczą szerszych kwestii, problemów etycznych, stosunku do badanych, zaufania obustronnego i wielu innych spraw. Wyodrębnienie ich z całości doświadczenia terenowego i osobistego zaangażowania słyca, a pewnie też trywializuje, osobiste odczucia i dylematy piszących o własnych doświadczeniach. Myślę, że bez naszkicowania własnych dróg i dochodzenia do tego, co było impulsem wyborów i poszukiwań osób piszących o swoim doświadczeniu, wiele by straciła każda próba opisanie własnej praktyki. Niekiedy przypomina to pamiętnik z podróżowania do niedookreślonego celu. Lecz przecież poszukiwanie jest często ciekawsze niż samo dotarcie do celu. Bo ten może się okazać nie tak ciekawy, jak sądziliśmy czy zakładaliśmy, niejasny, trudny do porządkującego, systematyzującego przedstawienia.

Zatem, by zwrócić uwagę na szersze, może nawet ważniejsze zagadnienia, konieczne jest opisanie sytuacji i kontekstów tych osobistych spostrzeżeń. Jeżeli prezentacja doświadczenia i praktyki terenowej dotyczy okresu długiego, odpowiedź na pytanie, co było ważne w tych latach, jest tym trudniejsza.

Badania terenowe prowadziłem w kilku różnych krajach azjatyckich, najdłużej w Mongolii. Jeszcze dłuższy czas badań wiąże mnie z Ukrainą.

Jednak najdłuższy i najtrwalszy związek łączy mnie z Cyganami, zwanymi obecnie, zgodnie z polityczną poprawnością i życzeniem aktywistów, Romami. Chociaż w wielu przypadkach jest to nieuprawomocnione, bowiem nie wszyscy uważają się za Romów, nie odczuwając przy tym niczego obraźliwego w nazwie „Cygan”. Mój związek z Cyganami trwa od drugiego roku studiów etnograficznych do dzisiaj. Dosłownie, bowiem 20 maja dostałem wiadomość, że już gotowa jest książka jubileuszowa dla Edwarda Dębickiego, 85-letniego, szanowanego Cygana, krewnego Papuszy, najbardziej znanej cygańskiej poetki. W tej książce jest także mój tekst poświęcony Edwardowi, z którym jestem od bardzo dawna, od ponad trzydziestu lat, zaprzyjaźniony. Dębicki jest propagatorem cygańskiej kultury muzycznej, autorem dwóch cenionych zbiorów poetyckich i świetnej książki wspomnieniowej. Jego działalność została nagrodzona medalem Gloria Artis, przyznany przed kilkanaście laty, przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Na moje doświadczenie złożyły się nie tylko pobyty wśród Cyganów i rozmowy z nimi – także rozmowy z niecygańskim otoczeniem, szperanie w archiwach krajowych i zagranicznych, czytanie zapisków i dokumentów instytucji państwowych oraz ich lokalnych przedstawicielstw, bywanie na konferencjach i cygańskich/romskich kongresach, reprezentowanie tej społeczności (z jej

upoważnienia) wobec organów państwa, współpraca z romskimi organizacjami; ponadto rozmowy i spotkania z wybitnymi postaciami – autorytetami środowiska badaczy Cyganów, osobami uznanymi i szanowanymi przez samych Cyganów/Romów.

Faktycznie więc są to doświadczenia o odmiennym charakterze. Dążenia działaczy romskich do wykreowania obrazu wspólnoty określanej jako naród nieterytorialny, aktywność urzędników organizacji, których romskość uwidoczniają umieszczone na ścianach biur obrazki, przedstawiające wędrownych Cyganów, biur utrzymywanych z reguły z dotacji unijnych lub ministerialnych – to ilustracja zmian zachodzących w życiu zbiorowości cygańskiej/romskiej. Ta rzeczywistość współczesna jest całkiem różna od tej sprzed półwiecza. Nie sposób tego objąć wspólną relacją, jednym doświadczeniem terenowym. Z tych samych względów pomijam moje spotkania z Cyganami i badaczami w innych krajach. W przedstawionym tutaj tekście ograniczam się do przybliżenia doświadczenia terenowego początków i pierwszych kilkunastu lat, jako najciekawszych dla mnie i najważniejszych poznawczo. Pomijam jednak tak istotne doświadczenia, jak uczestniczenie przy rozsądzaniu sporu pomiędzy dwiema rodzinami Polska Roma przez Szero Roma – zwierzchnika wszystkich Polska Roma, czy spotkania ze zwierzchnikami różnych rodów Kełderaszów i Lowarów. Koncentruję się na takich sytuacjach, które dotyczą problemów szerszych niż tylko lokalnych cygańskich.

Zatem zaczęło się w roku 1961, na drugim roku studiów. Podczas wykładów z etnografii krajowej, w tym o różnorodności regionalnej i lokalizacji obszarów tych kultur, temat Cyganów nie pojawił się. Może dlatego, że niemożliwe było przypisanie im jakichś wyraźnych granic regionalnych ani lokalizacji terenowej – nawet tym zamieszkującym tereny podgórskie. Nie uwzględniała Cyganów (ani Żydów) mapa zróżnicowania regionalnego Polski, znajdująca się w Małej Encyklopedii PWN, wydanej w latach sześćdziesiątych minionego wieku. Ciekawy tej regionalnej mozaiki student etnografii mógł się z mapy dowiedzieć, gdzie żyją w Polsce Słowicy i Bojarzy Międzyrzeccy, lecz o Cyganach informacji nie znajdował. Ja jej też nie szukałem. Byli Cyganie nieobecni. Nawet bardziej niż ginący mieszkańcy Ziemi Ognistej, o których czerpałem wiedzę z podręcznika *Ludy zbieracko-łowieckie*, którego autorem jest jeden z najważniejszych badaczy i nauczycieli polskich etnografów, Kazimierz Moszyński.

W maju czy na początku czerwca jeden z wykładowców zaprowadził studentów mojego drugiego roku do Muzeum Kultur Ludowych (późniejsze Państwowe Muzeum Etnograficzne) do Młocin, północnej peryferii Warszawy, gdzie mieściło się ono w niszczejącym pałacyku. Po kilkugodzinnym pobycie, kiedy to studiowaliśmy odmienności ubiorów regionalnych, bogactwo wycinanek i subtelności różnic soch i cepów, ubogaceni i syci wrażeń, mogliśmy pójść na przystanek tramwaju i wrócić do miasta.

Aliści. Drogą ku Warszawie jechały wozy mieszkalne, ciągnięte przez konie, towarzyszyły wozom grupki kobiet w długich barwnych spódnicach, dzieci, a przez przednie okna wozów widać było powożących mężczyzn. „Cyganie, Cyganie jadą!” – przekrzykiwali się miejscowi, także czekający przyjazdu tramwaju.

Dodam, że dopiero trzy lata później, decyzją władz państwowych zabroniono Cyganom wędrowania, przymuszając do porzucenia koczowniczego życia i osiedlenia na stałe.

Ponieważ urodziłem się w Warszawie i nie straszono mnie w dzieciństwie, że porwie mnie Cygan, jeśli będę grymasił, wypluwał kaszkę bądź psocił, obcy mi był lęk przed Cyganami. Natomiast widok jadących wozów i wędrujących ludzi, tak różny od dookolnego otoczenia przasných lat sześćdziesiątych, na tyle mnie zaintrygował, że zacząłem szukać wiadomości o tych wędrowcach oraz literatury, która przybliży mi ten osobliwy obrazek widziany z przystanku tramwajowego. Podczas wakacyjnego wyjazdu w Beskid Niski zobaczyłem jadący drogą ku Goricom wóz, skromny, całkiem inny niż te, które widziałem w Warszawie. W wozie jechała kobieta z dziewczynką. To moje pierwsze zdjęcie Cyganów (w Warszawie nie miałem przy sobie aparatu).

W czasie kolejnego roku akademickiego przeczytałem znaczną część publikacji, jakie ukazały się w Polsce na temat Cyganów, rozpoczynając od pierwszej książki Jerzego Ficowskiego *Cyganie polscy*, wydanej w 1953 r. Wówczas ośmieliłem się napisać list do Jerzego Ficowskiego. Otrzymałem miłą odpowiedź i zaproszenie do odwiedzenia go w domu, porozmawiania o Cyganach i literaturze na ich temat oraz o moich zainteresowaniach. Tak zaczęła się moja bardzo długa, trwająca aż do jego śmierci w roku 2006, znajomość z Jerzym Ficowskim – wybitnym cyganoznawcą, autorem kilku książek o Cyganach, poetą, autorem przekładu wierszy Papuszy z *romani* (języka cygańskiego) na polski, pisarzem, znawcą Brunona Szulza. To był początek systematycznego wglębiania się w tematykę cygańską. Jeszcze z zewnątrz, bez wejścia w środowisko Cyganów, lecz przygotowujący do tego. Na czwartym roku zdecydowałem, że tematem mojej pracy magisterskiej będą Cyganie. Wiosną pojechałem po raz pierwszy na badania terenowe. Nie wiedziałem wówczas, że wyjeżdżam w momencie szczególnym, który zasadniczo zmieni cygańskie, wędrowne życie. To był także moment pierwszych doświadczeń.

„To ilu ludzi wam potrzeba?”

Gdy w początkowych latach pięćdziesiątych minionego stulecia pracowałem w archiwum w Wilnie, szukając dokumentów do późniejszej książki poświęconej Cyganom, trafiłem na zaświadczenie wystawione w roku 1930 przez kierowniczkę Katedry Etnografii Uniwersytetu Wileńskiego, prof. Cezarię Ehrenkreutz-Jędrzejewiczową, dla jej asystenta mgra Witolda Dynowskiego. Zaświadczenie informowało, że mgr Dynowski udaje się na badania terenowe i będzie posługiwał się aparatem fotograficznym; zaświadczenie wystawiono celem okazania, w razie potrzeby, lokalnym władzom administracyjnym. Wiele lat po wystawieniu tego dokumentu, w roku 1964, zaopatrzony w zaświadczenie nieomal tej samej treści, podpisane przez Kierownika Katedry Etnografii Uniwersytetu Warszawskiego, już profesora, Witolda Dynowskiego, przybyłem do jednego z podlaskich miasteczek, w poszukiwaniu Cyganów. Z niewielkiego doświadczenia terenowego

wiedziałem, że sołtysi są uczuleni na obcych, na przybyszów i winni zawiadamić milicję, gdy tacy się pojawiają. Aparat i fotografowanie czegokolwiek na wsi wywoływało czujną reakcję i pytania, czy ma się zezwolenie na robienie zdjęć. By uniknąć podejrzliwych pytań, wsparty zaświadczeniem i autorytetem pieczętąki uczelni, udałem się na posterunek milicji, prosząc o możliwość rozmowy z komendantem. Szybko zostałem zaproszony do gabinetu komendanta, któremu przedstawiłem, co mnie sprowadza tutaj: moją potrzebę spotkania Cyganów, rozmów z nimi, w ramach zbierania materiałów do pracy magisterskiej. „To ilu ludzi wam potrzeba?” – spytał uprzejmie komendant. Wyjaśniłem, że jestem sam. Zrozumiałem po chwili, że „wam” jest uprzejmą formą, zamiennikiem „obywatelu”. „Jak sami pójdziecie, to nie będą z wami chcieli rozmawiać, więc ilu ludzi wam potrzeba?” Podziękowałem za chęć pomocy, jak również za zaproszenie do towarzyszenia milicjantom, którzy też się do nich wybierali, jednak komendant nie zdradził, w jakim celu. Wyjaśniwszy tę kwestię, zapytał komendant, co będę fotografował. Po moich wyjaśnieniach prosił jedynie, bym nie fotografował słupów i linii przesyłowych wysokiego napięcia. Solennie zapewniłem, że nie będę słupów fotografował. Zalegalizowawszy mój pobyt, mogłem rozpocząć poszukiwania.



Fot. 1. Moje pierwsze zdjęcie Cyganów. Ulica w Gorlicach. Fot. Lech Mróz

Od komendanta milicji dowiedziałem się, że kilka rodzin zimowało w sąsiedniej wsi i jedna lub dwie rodziny są tam nadal, zaś pozostałych kilka rodzin już przeniosło się do lasu za wsią, gdzie mieszkają w wozach i namiotach, i zapewne wkrótce będą chcieli ruszyć w drogę. Nie wyruszyli. Ani następnego dnia, ani w kolejnych.

„No, Cygany, koniec z wami”

Następnego dnia rano powędrowałem do owej wsi. Od kogoś z miejscowych, może samego sołtysa, dowiedziałem się, gdzie mieszkają Cyganie. W chacie stojącej nieco na uboczu, jednak nie poza wsią czy na jej peryferii, mieszkało starsze małżeństwo z gromadką dzieci. Zaprosili mnie do środka. Pierwsze zaskakujące doświadczenie: wbrew popularnemu w literaturze obrazowi, że chaty cygańskie są brudne, wewnątrz było schludne. W pierwszej izbie, kuchennej, mieszkali rodzice. Druga izba przedzielona była jasnymi zasłonami, sięgającymi od sufitu do podłogi, na trzy części. W jednej mieszkali chłopcy, w następnej młodsze dziewczynki, w trzeciej starsze dziewczyny. To był zadziwiający widok. W latach późniejszych byłem w setkach wiejskich obejść, nigdy nie widziałem takiego urządzenia chaty, także zresztą u Cyganów osiadłych od pokoleń, zamieszkujących tereny podgórskie.

Siedzieliśmy w kuchni, rozmawiając. Nie okazywali zniechęcenia. W jakimś momencie, chyba po około godzinie, na podwórko zajechała warszawa. Z samochodu wysiadł mężczyzna w marynarce, krawacie, z teczką pod pachą. Znaczący: prawdopodobnie osoba urzędowa. Nie pukając, wszedł do izby. „No, Cygany, koniec z wami. Nie wolno się włóczyć, macie siedzieć na miejscu, do roboty, teraz weźmie się za was milicja”. Najpierw zapadła cisza, a w miarę jak osoba urzędowa mówiła, czego teraz im nie będzie wolno, coraz głośniejszy był płacz kobiety. Mężczyzna ponuro milczał. Osoba urzędowa powiedziała, że do tych w lesie pojechała milicja, urzędnicy, spisują ich, będą karali mandatami za włóczenie się, za ogniska w lesie. Próbowałem się włóczyć, mówiąc, że nie można karać, jeśli nie było przestępstwa, zabraniać przemieszczania, itd. „A wy kto, co tu u nich robicie, wami też zajmie się milicja” – odpowiedział mi urzędowy obywatel, wychodząc. Siedzieliśmy bez słowa, kobieta chlipała. „Stale nas prześladowają, w wojnę i teraz. Nie wiemy, co teraz będzie”. Nie wiedziałem i ja, co może być. Aktywność milicji i przedstawicieli władzy uniemożliwiła rozmowę z tymi, co byli w lesie. Wróciwszy do Warszawy, dowiedziałem się, że ten dzień, pierwszy dzień moich badań terenowych pośród Cyganów, był początkiem realizacji decyzji władzy państwowej dotyczącej przymusowego osiedlenia wędrowców. To było ponad pół wieku temu. Przez kilka lat próbowali jeszcze wędrować, uciekać ścigającej ich milicji. Władze uznały, że przymusowe odebranie wozów i koni zmusi Cyganów do osiedlenia. Widziałem takie wozy na milicyjnych działkach koło Międzyrzecza Podlaskiego, pod Krakowem, lecz największe skupisko koło Wrześni, niedaleko szosy z Warszawy do Poznania. Niektóre wozy służyły jeszcze długo rodzinom cygańskim jako mieszkania, ustawione obok przydzielonych przez lokalne władze domostw. Za rekwirowane konie wprawdzie płacono, ale w cenie mięsa rzeźnego. Cygańskie konie musiały być mocne, zatem zwyczajnie władza Cyganów grabiła. Więc sprzedawali je ludności wiejskiej. Nie jest przedmiotem tego tekstu akcja przymusowego osiedlenia. Poświęciłem temu kilka zdań dlatego, że początek akcji był zarazem początkiem mojego doświadczenia badawczego i zapewne, nawet jeśli tego nie planowałem, wpłynęło to na moje postrzeżenie

Cyganów i stosunku do nich niecygańskiego otoczenia, a przede wszystkim na ocenę władz państwowych i świadomość cygańskiej doli.

W czasie kolejnych miesięcy poszukiwałem kontaktów i rozmówców dosyć przypadkowo, zasięgając informacji w Powiatowych i Gminnych Radach Narodowych. Zaopatrzony w stosowny dokument starałem się dowiedzieć, gdzie zameldowano spisanych w początkach akcji. Idąc tym tropem, odwiedzałem poszczególne rodziny, o ile jeszcze nie przenieśli się do innej miejscowości, gdzie osiedlono ich bliskich lub po prostu uciekli przed milicją, wędrując dalej, kryjąc się po lasach, z czasem zamieniając swoje wozy mieszkalne na wozy chłopskie, mniej zwracające uwagę, łatwiejsze do ukrycia się i ucieczki.

Przemieszczałem się głównie po Podlasiu, odwiedzając rudery lub, znacznie rzadziej, domostwa nadające się do zamieszkania. Zabraniając Cyganom wędrowania, władze nie potrafiły jednak zapewnić im warunków do życia. Dlatego ten pierwszy okres kilku, czasami kilkunastu, lat był szczególnie trudny. Oferowane pomieszczenia, często w fatalnym stanie, znajdowały się niejednokrotnie w lokalnych slumsach, zamieszkiwanych przez osoby ze środowisk przestępczych. To wpływało zarówno na sposób adaptacji przymusowo osiedlanych, jak też na stosunek Cyganów do niecygańskiego otoczenia. Także pomieszczenia znajdujące się bliżej centrum czy po prostu o dogodniejszej lokalizacji, które przeznaczono dla Cyganów, niezbyt nadawały się do zamieszkania (np. w wilgotnej suterynie, czy zdewastowanych poniemieckich domach na Warmii czy Mazurach i tzw. Ziemiach Zachodnich).

W roku 1958, w kolejnej fali repatriacyjnej, przybyło do Polski kilkadziesiąt rodzin cygańskich z Litewskiej Republiki Radzieckiej. Ubiegając się o zgodę na wyjazd, deklarowali, że są Polakami. Przed wojną wędrowali po Ziemi Wileńskiej i Lidzkiej, znali język polski. To Chaładytka Roma, spokrewnieni blisko z Polska Roma, tzw. Cyganie Ruscy (nie rosyjscy). Chaładytka żyli na ziemiach zaboru rosyjskiego, wędrowali głównie po terenach północno-wschodnich, podobnie jak Sasytka Roma po ziemiach zaboru pruskiego, zaś Galicjaki po terenach dawnego zaboru austriackiego. Część Chaładytka Roma przybyła do Polski w pierwszej fali przesiedleńczej, zaraz po wojnie, a niektórzy w ogóle nie wyjechali, jednak utrzymywali kontakty z rodzinami w Polsce. Ci żyją głównie w zachodniej Białorusi i na Wileńszczyźnie (odwiedzałem ich w Ejszyszkach, mając polecenie od ich rodzin z Polski).

Po przyjeździe do Polski powrócili do wędrownego życia, zabronionego już w radzieckiej Litwie i Białorusi. Większość z tej drugiej fali repatriacyjnej przebywała na Podlasiu, tutaj też zastała ich akcja osiedleńcza. W pierwszych latach badań właśnie pośród podlaskich Chaładytka Roma, mieszkających w kilkunastu różnych miejscowościach, spędziłem najwięcej czasu, sam, a potem z grupą studentów, która w latach 1978–1979 prowadziła pod moją opieką (jako grupa laboratoryjna) badania na Podlasiu, wśród samych Chaładytka Roma, ale też rozmawiając z mieszkańcami miejscowości, gdzie żyli owi Cyganie.

Pierwsze kontakty (zanim uznałem, że mogę przyjechać z grupą studentów), pogłębiające się życzliwe zainteresowanie moich rozmówców, wobec których nie

kryłem swojego naukowego celu wizyt i rozmów, nie pozwalały jednak zbyt głęboko wniknąć w szereg tematów; odczuwana przeze mnie życzliwość i gościnność nie przeradzała się w głębsze zaufanie. Jednak stopniowo oswajaliśmy się ze sobą. W roku 1977 rozpocząłem zajęcia w Białostockiej Filii Uniwersytetu Warszawskiego. W Białymstoku mieszkało kilka rodzin Chaładytka Roma. Bardzo często spędzałem u nich kilka godzin przed powrotem do Warszawy, po przeprowadzeniu zajęć na uczelni.

Studenci szybko nawiązali kontakt z członkami tej grupy. Tym łatwiej, że wiele osób nie różniło się wiekiem od studentów. Siematycze były przez czas pracy grupy (czyli dwa lata – tyle przewidywał program studiów) naszym podstawowym miejscem pobytu, stąd jeździliśmy do innych miejscowości i tu wszyscy wracali wieczorem, by wspólnie zdać relację z dnia badań i omówić jego efekty. Ówczesna komunikacja autobusowa była na tyle rozwinięta, że przemieszczanie się nie było kłopotliwe.

Barak po robotnikach leśnych, gdzie osiedlono kilkanaście rodzin, był miejscem najczęściej odwiedzanym przez nas; prócz baraku przydzielono Cyganom jeszcze trzy chaty, dwie niedaleko baraku, jedną w sąsiedniej wsi.

Programy grup laboratoryjnych przewidywały, oprócz zajęć na uczelni (będących zaznajomieniem z tematem, wprowadzeniem w problematykę i przygotowaniem do badań), dwa wyjazdy terenowe w ciągu roku, czyli w sumie cztery tygodniowe pobyty w terenie. Dzięki przychylności (także finansowej) ówczesnej kierownik Katedry (profesor Zofii Sokolewicz), mogliśmy wyjechać także w czasie wakacji na tzw. praktyki terenowe. Studenci jeździli także indywidualnie, do zaprzyjaźnionych rodzin. Po pewnym czasie zorientowałem się, że nie tylko ja jestem potrzebny studentom, także oni są mnie potrzebni. Zauważyłem, że w budowaniu mojej relacji z Cyganami studenci są uwiarygodnieniem mnie samego, jako ich opiekuna i nauczyciela. Jednym z ważnych elementów cygańskiego systemu etycznego, *romanipen*, jest szacunek dla osób starszych, mądrzejszych doświadczeniem życiowym. Wprawdzie byłem niewiele starszy od studentów, jednak byłem ich nauczycielem. Także w przypadku Cyganów nie metryka (tym bardziej, że często jej nie mieli, a wiek określano w przybliżeniu), lecz doświadczenie decydowało o autorytecie i stosunku do osoby.

Łączyło się z tym jeszcze inne doświadczenie. Podczas rozmów w baraku cygańskim notowałem, studenci także. Kiedyś ktoś z mieszkańców powiedział, że oni nie wiedzą, co piszemy – czy nic złego albo ośmieszającego ich. Bo oni nie umieją czytać, więc nie mogą przeczytać tego, co zapisaliśmy. Zapewniłem, że niczego złego w zapiskach nie ma. Zaproponowałem, że może lepiej będzie, jak będziemy nagrywać rozmowę na magnetofon, a potem odtworzymy. Mieliśmy dwa czy trzy małe magnetofony kasetowe. Próba wypadła znakomicie. Nasi rozmówcy, słuchając swoich głosów, zaczęli zachowywać się jak na estradzie: „Tak, tak, to ja mówiłem, a to...” – i tu padały imiona. Od tej pory nagrywanie i notowanie nie powodowało niepokoju rozmówców.

Nasze kontakty układały się na tyle dobrze, że kiedyś dwóch chłopaków z grupy zostało zaproszonych, by pojechali wraz z mężczyznami na targ koński.

Potem opisali ów dzień i swoisty rytuał kupna, i jeszcze innym razem towarzyszyli przy kupowaniu koni. Nie mniej ciekawym doświadczeniem była realizacja pomysłu, który przyszedł mi do głowy w autobusie, gdy po zajęciach w Białymstoku jechałem do Siemiatycz, do przebywających tam studentów. Otóż pewna studentka była bardzo podobna fizycznie do jednej z Cyganiek. Nasi gospodarze przypuszczali, że jest ona Cyganką albo ktoś z jej niezbyt odległych przodków musiał być Cyganem.

Zaproponowałem, by kobiety, które następnego dnia (jak często) wybierały się do sąsiednich wiosek, oferując wróżenie, zabrały ze sobą tę właśnie dziewczynę, Blankę, odpowiednio ją ubrały i aby poszła z nimi wróżyć. Potraktowałem pomysł jako formę sprawdzenia, czy *gadzie* (nie-Cyganie) zorientują się, że Blanka nie jest Cyganką. Zapewne dla wielu znakiem przynależności są elementy zewnętrzne, takie jak ubiór. Pomysł potraktowano jako dobry żart, a ponieważ nikt ze starszyny nie oponował, następnego ranka ubrana „po cygańsku” Blanka wyruszyła z trzema kobietami „do pracy”. Chodziły dwójkami, w zmieniającej się konfiguracji. Kiedy późnym popołudniem Blanka wróciła, usłyszałem: „Nie wiem, czy będziesz zadowolony, ale przyniosłam słoik smalcu, jajka i ser (tyle wypadło z podziału), dostałyśmy też gęś, upieką ją, a wieczorem mamy iść do baraku na jedzenie”. Blanka jeździła potem indywidualnie do Siemiatycz i towarzyszyła wróżącym, zbierając materiały do pracy magisterskiej. Niestety troje innych studentów (wśród nich ten, który towarzyszył kupującemu konie) nie uzyskało zgody na wybrany temat pracy magisterskiej. Dobrze, że swoje materiały mogli w części wykorzystać do innego, zaakceptowanego tematu. Ja sam daleki jeszcze byłem od uzyskania stopnia dającego prawo do opieki nad pracami magisterskimi. Jedynie z uwagi na oryginalność tematu, zostałem poproszony o konsultowanie pracy Blanki. Natomiast rezultaty studenckich badań przedstawione były w kilku publikacjach – w „Etnografii Polskiej” i „Polskiej Sztuce Ludowej (Konteksty)”.

„Fila cię woła”

Najczęściej w początkowych latach badań bywałem na Podlasiu w różnych miejscach, gdzie mieszkały rodziny Chaładytka Roma, pośród których spędziłem najwięcej czasu. W Białymstoku mieszkało także kilka rodzin z grupy Polska Roma, jednak w tamtym czasie przebywałem głównie pośród Chaładytka Roma.

Znałem wiele rodzin z tej grupy, także te osoby, które, mieszkając w innych rejonach Polski, przyjechały do rodziny. Rozmawialiśmy o ich życiu przed wojną, chowaniu się w lasach Wileńszczyzny w czasie wojny, sposobie zarabiania na życie dawniej i obecnie, o stosunkach z nie-Cyganami, o zimowaniu w namiotach i wozach, w lesie, a wynajmowaniu jedynie stajni dla koni. Miejscowi wieśniacy z reguły odmawiali wynajęcia izby na zimę Cyganom, natomiast stosunek do koni, tak ważnych nie tylko dla wędrowców cygańskich, lecz także dla każdego rolnika, był inny, dlatego miejsce dla koni zawsze się znalazło.

Jednak niektórych pytań moi rozmówcy jakby nie słyszeli. To nie było burknienie: „Nie wiem, nie pamiętam” – bo taka odpowiedź byłaby oznaką lekceważenia, brakiem uprzejmości, więc udawali, że nie usłyszeli pytania lub nie zrozumieli. Mimo wszystko, nie było to oznaką wrogości, a jedynie daniem do zrozumienia, że o tym nie chcą rozmawiać z obcym, z białym.

Pod koniec lat siedemdziesiątych, wczesną jesienią, byłem znowu w Siemiatyczach, w baraku, w którym już wielokrotnie bywałem. Siedzieliśmy kilkuosobową grupą mieszkańców baraku, gdzie kto mógł, w kuchni jednej z rodzin, która dysponowała większym pomieszczeniem. Rozmawialiśmy, czasami żartując, przekrzykując się. W pewnej chwili cicho uchyliły się drzwi. Stał w nich bez słowa starszy mężczyzna. Umilkły głosy, umilkły żarty; starszy mężczyzna popatrzył na nas, chwilę postął i równie cicho wyszedł. Znowu zrobiło się gwarnie.

Widywałem go podczas moich bytności w baraku. Często w trakcie spotkań ktoś mówił, chodźmy do X lub Y, nigdy jednak nie proponowano, byśmy poszli do niego, on także nigdy nie uczestniczył w spotkaniach. W ogóle powściągliwie, jakby niechętnie i zdawkowo odpowiadano na moje pytania o niego. Z czasem dowiedziałem się, że jest to głowa czy zwierzchnik tej grupy, człowiek o imieniu Fila. Nigdy też nie udawało mi się z nim porozmawiać ani znaleźć pretekst do odwiedzenia go w jego mieszkaniu. Podczas rozmowy o mieszkańcach baraku czy sąsiednich chat, pomijali jego obecność, jakby go nie było.

Ten wczesnojesienny wieczór, a właściwie i dzień kolejny, były przekroczeniem istotnej granicy. Sądzę, że pojawienie się tego starszego mężczyzny nie było przypadkowe. Następnego dnia, z samego rana, do izby, w której siedzieliśmy gromadnie minionego wieczora i gdzie potem nocowałem, wszedł kilkunastoletni syn jednej z rodzin. „Fila cię woła” – zwrócił się do mnie. Moi gospodarze nie wydawali się zdziwieni. Poszedłem za przybyłym chłopakiem do domostwa owego starszego mężczyzny – szefa grupy albo, jak go także nazywali – wójta. Nie pytał, co u nich robię, czym się zajmuję; wydało mi się, że jest bardzo dobrze zorientowany (wielokrotnie podczas odwiedzin mieszkańców baraku rozmowa schodziła na temat mojej pracy, moich rozmów z Cyganami, moich wizyt u dalszej i bliższej ich rodziny). Powiedział: „Pojedziesz do Sokołowa, pójdiesz do K. i powiesz, że szuka go milicja, i musi wyjechać, potem pojedziesz do Białegostoku, powiesz M., że jego matka jest chora, ma zaraz przyjechać, bo będzie *magerdo* (skalany), potem pojedziesz pod Augustów, do miejscowości P. i powiesz Ł., że ma tu przyjechać, bo jest mi potrzebny”. Jeszcze kilka poleceń otrzymałem, stojąc przed siedzącym na łóżku F. Nie pytał, czy mam czas i ochotę do tej podróży; uznał zapewne, że skoro bywam u nich i jestem przyjmowany, gościny, dają mi swój czas i opowieści, to nie mogę odmówić. Dodał: „Nas milicja co chwila zatrzymuje, jak widzą Cygana, zaraz chcą pieniędzy, do ciebie nikt się nie przyczepi, bo jesteś *parno* (biały)”. Był to także oczywisty dowód zaufania i zaakceptowania mojej bytności pośród grupy.

Znałem wszystkie osoby, którym miałem przekazać słowa F.; ale jest zrozumiałe, że szeroka sfera ich życia była mi nieznana. Mojemu pojawieniu się towarzyszyły – jak niejednokrotnie – żarciki, hałaśliwe dopytywanie, co u mnie,

skąd przyjeżdżam. Do momentu, kiedy zwróciłem się do K., a dzień później w Białymstoku do M. słowami „Fila kazał ci powiedzieć ...” i przekazywałem treść otrzymanego posłania. Natychmiast zmieniał się nastrój, było oczywiste, że słowa F. są nakazem, którego nie wolno bagatelizować. Nawet, jeśli przekazuje nie-Cygan, lecz ktoś przysłany przez tego starszego mężczyznę. M. od razu ruszył na dworzec autobusowy. Jednego z mężczyzn, któremu też miałem przekazać słowa F., nie zastałem w domu; był w tej samej miejscowości, lecz u nieznannej mi jeszcze rodziny, niezbyt daleko mieszkającej. Zaprowadził mnie do nich zaprzyjaźniony T. – głowa licznego rodu, u którego nocowałem i sporo czasu spędziłem na rozmowie. Wchodząc do mieszkania, gdzie przebywał akurat ów poszukiwany przeze mnie adresat wiadomości od F., z poważną miną T. powiedział: „Ten pan jest z milicji i przyszedł w sprawie jakichś lichtarzy, które podobno zginęły księdzu.” Zapadła cisza – zaraz jednak T. roześmiał się i tym razem w języku cygańskim przedstawił mnie: „To jest Lechu manuś, Fila go przysłał”. *Manuś* znaczy człowiek; tym słowem dodanym do imienia określali mnie już wcześniej w tej grupie; stosuje się je wobec osób zaprzyjaźnionych, przychylnych, dopuszczanych do wspólnego jedzenia i darzonych zaufaniem. To posłannictwo, z jakim wysłał mnie do kilku osób i rodzin F., znaczyło bardzo dużo; od tego momentu wielokrotnie zwracali się do mnie w różnych kwestiach praktycznych, świadczących o zaufaniu.

Szczególnie delikatnym tematem były sprawy dotyczące zdrowia. Stawałem się posiadaczem wiedzy zastrzeżonej dla rodziny i najbliższych. Były to najczęściej prośby o zweryfikowanie diagnozy i przepisanych lekarstw. Moi cygańscy znajomi oczekiwali, że zabiorę do Warszawy dokumentację lekarską i recepty, i wrócę z potwierdzeniem rozpoznania, z ewentualną diagnozą dotyczącą leczenia i terapii. Nie chodziło o kupno lekarstw i zaoszczędzenie moim kosztem, lecz jedynie o zweryfikowanie diagnozy miejscowego lekarza czy przychodni.

Fila przeniósł się później do niewielkiej chaty w Białymstoku, niedaleko bazaru. Byłem tam u niego kilkakrotnie, teraz nie unikał rozmowy.

T. powiedział, abym u niego zanocewał, bowiem zrobiło się już późno. Następnego dnia, po śniadaniu, zaproponował, żebym z nim poszedł na ryby. T. wiedział, że nie wędkuje. Kilka razy rozmawialiśmy o lubianym przez niego zajęciu. Zresztą i syna nazwał Lino, bowiem – jak mi powiedział – urodził się gruby, jak lin. Uznałem, że pewnie chce porozmawiać poza domem, bez obecności żony i dzieci, bez kontroli społecznej, nawet w tak prywatnej, rodzinnej, formie. Rzeczywiście. Nim doszliśmy do wody, T. przypomniał: „Kiedyś, jak oglądałeś u nas stare zdjęcia rodzinne (było to ponad pół roku wcześniej), spytałeś, dlaczego na dwóch zdjęciach są duże dziury, jakby kogoś wycięto ze zdjęcia (wyraźnie usunięto, wycinając żyłką jakąś osobę). Teraz ci powiem: ten Cygan nie może być na tych fotografiach, bo jest wyklęty, gdyby się pojawił, to byśmy go zabili. On jest *famuso*. Po raz pierwszy usłyszałem w rozmowie to słowo, określające kogoś, kto dopuścił się czynu na zawsze wykluczającego go nie tylko ze społeczności, także z rodziny. Bywały przypadki zabicia osoby (Cygana), która dopuściła się czynu wykluczającego.

Romanipen, zbiór zasad określających życie godziwe, bycie Prawdziwym Cyganem, wyróżnia dwie kategorie wykroczeń i czynów karalnych: małe skalania i wielkie skalania. Od rodzaju przewiny zależy okres wykluczenia z grupy, w tym ze wspólnoty jedzenia i picia, i rodzaj zadośćuczynienia. Przy wielkich skalaniach czas wykluczenia zwykle nie przekracza roku. *Famuso*, to ktoś dożywno wykluczony.

„On zgwałcił własną córkę. Ona też musiała odejść” – powiedział T. – „Wiem, że żyje w mieście (tu padła nazwa), wyszła za męża, za milicjanta”. Ta jej decyzja była definitywnym zamknięciem możliwości powrotu i odwiedzania, nawet na krótko, rodziny. O jej ojcu, sprawcy czynu i niedoli córki, nic T. nie wiedział, czy gdzieś wyjechał, czy w ogóle żyje.

Wiele lat później, w roku 2005, rozmawiałem ze znanym mi od ponad dwudziestu lat szefem Polska Roma ze Śląska (wiele razy byłem w jego obozach, najczęściej w okolicach Warszawy, nocowałem u niego, jeździłem z nim na groby jego bliskich, pod Kraków). Rozmowa miała miejsce w siedzibie Stowarzyszenia Romów. Obecnych było jeszcze trzech Cyganów/Romów, lecz nie uczestniczyli w rozmowie, także z racji wieku (byli od nas znacznie młodszy). Umówiliśmy się na tę rozmowę w związku z przygotowywanym przeze mnie do publikacji albumem dawnych fotografii, którego wydawcą było to Stowarzyszenie. Zależało mi na rozmowie z H., bowiem jego wypowiedzi planowałem zawrzeć w towarzyszącym fotografiom tekście. Tym bardziej, że na dwóch fotografiach był on wraz z żoną (zdjęcia pochodziły z końca lat pięćdziesiątych XX w.).



Fot. 2. Blanka (studentka) i M. Z jego rekomendacją mogłem odwiedzić Cyganów w Ejszyszkach, na Wileńszczyźnie. Fot. L. Mróz

Rozmawialiśmy o wędrowaniu, o trudnościach z zachowaniem zasad *romani* we współczesnym życiu, także dlatego, że niektóre z zasad zupełnie nie przystawały do rzeczywistości i obecnie prowadzonego życia. Spytałem też, co współcześnie znacząłoby *famuso*, w sytuacji, gdy tak bardzo zmieniły się oceny dotyczące intymności, a telewizja często pokazuje sceny nawet drastyczne. Starszy z tej trójki przysłuchującej się rozmowie zerwał się: „O tym nie można mówić”. Mój rozmówca nie był oburzony pytaniem, ja zaś powiedziałem: „To wyjdźcie, my możemy o tym rozmawiać”. Rzeczywiście wyszli. Nie mieli śmiałości zwrócić uwagi H., bo to on był zwierzchnikiem i stróżem praworzędności. Jeżeli uznał, że może ze mną o tym rozmawiać, to znaczy, że nie jest to w tym przypadku wykroczenie. Zawsze przecież osoba i stopień zażyłości, i zaufania, decydują, z kim i o czym można rozmawiać. Ten fragment rozmowy nie znalazł się w tekście, bo przewidywałem zamieścić tylko to, co było w albumie najważniejsze, czyli jego ocenę życia w dwóch światach, trudności i dylematy wyboru tożsamości przez młode pokolenie Cyganów/Romów, a co dobrze oddaje cygańskie powiedzenie: „Nie możesz jednym tyłkiem siedzieć na dwóch koniach naraz”. „Nie możesz jeść dwoma łyżkami, tylko jedną” – dodał H.

Wówczas przekonałem się, że nie tylko czyn jest straszny, ale także samo słowo budzi grozę. Serdecznie się uścisnęliśmy na pożegnanie, niestety ostatnie. Album wkrótce wyszedł drukiem, H. go dostał¹. Nasze kolejne umówione spotkanie, u niego w domu, nie doszło do skutku. Zmarł dość nagle.

Nieomal od pierwszych kontaktów z Cyganami fotografowałem. Najpierw nieśmiało, za każdym razem pytając, a przy kolejnej bytności przywoziłem odbitki. Fotografowałem na filmach czarno-białych, sam je wywoływałem i robiłem powiększenia. Nie był to koszt znaczny. Obozowiska fotografowałem początkowo z oddali. Z upływem miesięcy, lat, po kolejnych spotkaniach, przestałem obawiać się nieprzychylnych reakcji; fotografowałem życie obozowe, domowe, także sytuacje, które zwykle nie są pokazywane „nieswoim”. Inna rzecz – zawsze starałem się pamiętać, że jestem gościem, nie rodziną, nawet jeśli osobą znaną od wielu lat, że obowiązują inne zasady rozmowy z mężczyznami, a inne z kobietami, także znanymi mi od dawna. Szacunek do moich rozmówców i gospodarzy nie przychodził mi trudno. Z wieloma osobami byłem i jestem zaprzyjaźniony, mogę powiedzieć – serdecznie.

W trakcie lat spotkań z Cyganami wszedłem w kontakty ze wszystkimi żyjącymi w Polsce społecznościami: najliczniejszymi Polska Roma, Kełderaszami, Lowarami; także z Cyganami Karpackimi. Należy wyjaśnić, że nie ma między nimi zależności. Każda z tych trzech (Polska Roma, Lowarzy, Kełderasze) tworzy odrębną wspólnotę, z własnymi zwierzchnikami. Jedyne Cyganie Karpaccy, czyli osiadli od pokoleń na terenach podgórskich, nie tworzą wspólnoty. Choć mieszkańcy wioski spiskich, podhalańskich, gorczańskich żenią się między sobą, są odrębnymi lokalnymi społecznościami. Istnieje wyraźny podział i dystans

¹ Helfer, J. (fot.), Mróz, L. (oprac. tekstów, koncepcja układu) (2005). *Cyganie – Romowie. Zapomniane obrazy*. Warszawa: Wydawnictwo DiG.

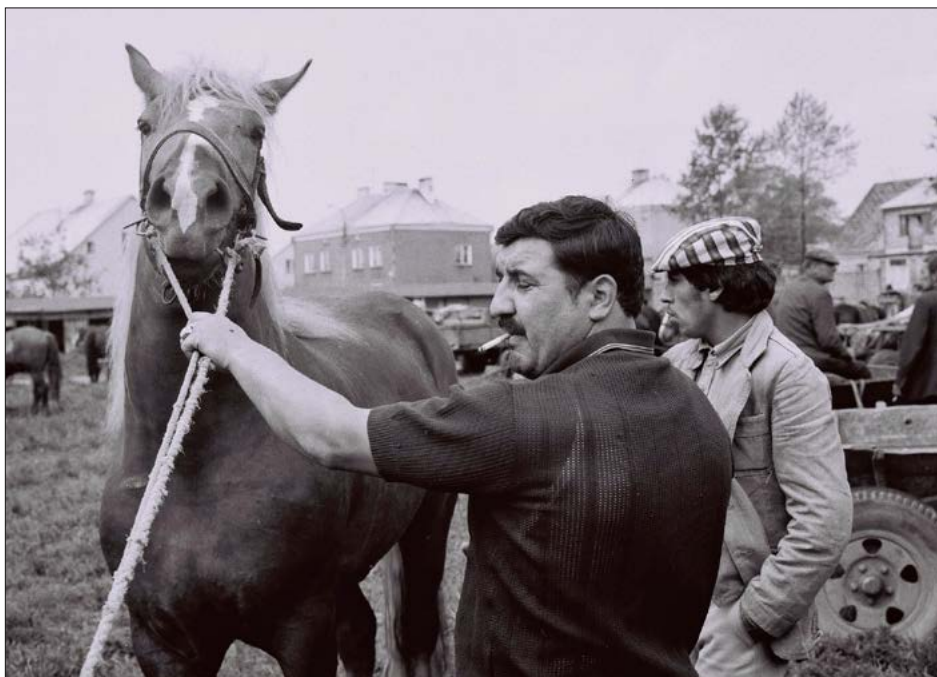
między tymi trzema grupami o tradycji wędrowniczej a tymi górskimi, osiadłymi. Dystans ten, obecnie osłabły, jednak przez wielu jest utrzymywany, a jedzenie i picie z nimi jest uważane za czyn kalający, zaś małżeństwa z osobami z podgórszych wiosek były przez dziesięciolecia wykluczone (obecnie także nie znam takiego przypadku). Ja najwięcej czasu w pierwszych latach spędzałem pośród Chaładytka Roma. Podobnie jak Sasytka Roma i Galicjaki są odrębnymi subgroupami Polska Roma. Potwierdza to uznawanie przez nich zwierzchnika Polska Roma także za ich zwierzchnika. *Baro Szero* (Wielka Głowa) albo *Szero Rom* (Cygan Głowa) jest zatem najwyższym autorytetem wszystkich Polska Roma, wraz z wymienionymi subgroupami. Poszczególne grupy dzielą się na rody. Nie wchodzę głębiej w strukturę relacji grup i rodów, jedynie uznałem za wskazane zwrócenie uwagi na ten podział, by ułatwić rozumienie pojawiających się tu określeń i nazw grup.

Powinność ugoszczenia

Któreś jesieni T. powiedział, że z kilkoma Cyganami wybierają się na targ koński do Czarnej Białostockiej; zaproponował, bym z nimi pojechał. T. wiedział, że jeżdżę konno, czasami rozmawialiśmy o rodzajach koni, ich wadach. Pominę sam obrządek kupna, sprawdzania chodu konia, stanu uzębienia, itd. Kupiliśmy kilka koni, z myślą o przewiezieniu ich do Wielkopolski, gdzie ceny koni były znacznie wyższe. Po zakończeniu spraw kupna staliśmy gromadnie, zastanawiając się, jak najlepiej będzie jechać, by omijać kontrole milicyjne i ile trzeba „im dać”, by przepuścili (nie wszystkie konie miały odpowiednie dokumenty). T. wyjął butelkę wódki i kieliszek, i stojąc, kolejno piliśmy z tego kieliszka. Niespodziewanie pojawiło się dwóch Cyganów. Na pytanie T., czy są Cyganami, przytaknęli i podali, skąd są. Byli to Cyganie górscy. Mowa górskich Cyganów się różni – nie jest trudne poznanie po mowie tych z gór. Tu muszę przywołać jedną z zasad *romanipen*. *Romanipen* nakazuje, by każdego Cygana, nawet nieznanego, ugościć. Zarazem picie z jednego kieliszka z tymi z gór jest wykluczone, jako kalające. T. przyniósł jeszcze jeden kieliszek. Postawił na dyszlu, nalał wódkę i gestem (nie podając bezpośrednio) zaprosił do wypicia. Potem nalał dla drugiego mężczyzny, my w tym czasie popijaliśmy z tego jednego kieliszka. Po opróżnieniu butelki tamci odeszli. T. trącił dyszel, kieliszek, z którego pili górscy Cyganie, spadł na ziemię i rozbił się. T. nie komentował tego, wiedziałem jednak, że z tego kieliszka już pić nikt z nich nie może, nie da się go umyć, bo jest nieczysty.

Kilka lat później (na początku lat osiemdziesiątych) byłem w obozowisku Polska Roma pod Warszawą. Wraz z H. i jego rodziną siedziałem przed namiotem, wokół dużej miski i jedliśmy obiad przygotowany przez żonę H. Jedliśmy ze wspólnej miski. Dostyc niespodziewanie pojawiły się dwie osoby: kobieta Cyganka i jej mąż nie-Cygan. Ów powiedział, że dowiedzieli się od kogoś z miejscowych, że tu są Cyganie, a ponieważ kobieta jest Cyganką, chcieli się przywitać, poznać. Na pytanie H., z jakich jest Cyganów, kobieta odpowiedziała,

że z górskich. Zgodnie z powinnością ugoszczenia, żona H. wyjęła dwa talerze, dwie łyżki, napełniła talerze i zaniósła przybyłym, stawiając je na ziemi, w sporej odległości od nas. H. o coś ich spytał, ale wynikało to tylko z zasady gościnności, a nie z chęci rozmowy. Gdy przybyli zjedli, podziękowali i niezatrzymywani odeszli. Zaraz potem S., żona H., przez szmatkę chwyciła talerze i łyżki po przybyszach, poszła do oddalonej kępy krzaków, podniosła kilka kamieni i potłukła starannie talerze i łyżki. Gdy wróciła do namiotu i nas siedzących, powiedziała, że musiała je potłuc, żeby dzieci nie wzięły do zabawy.

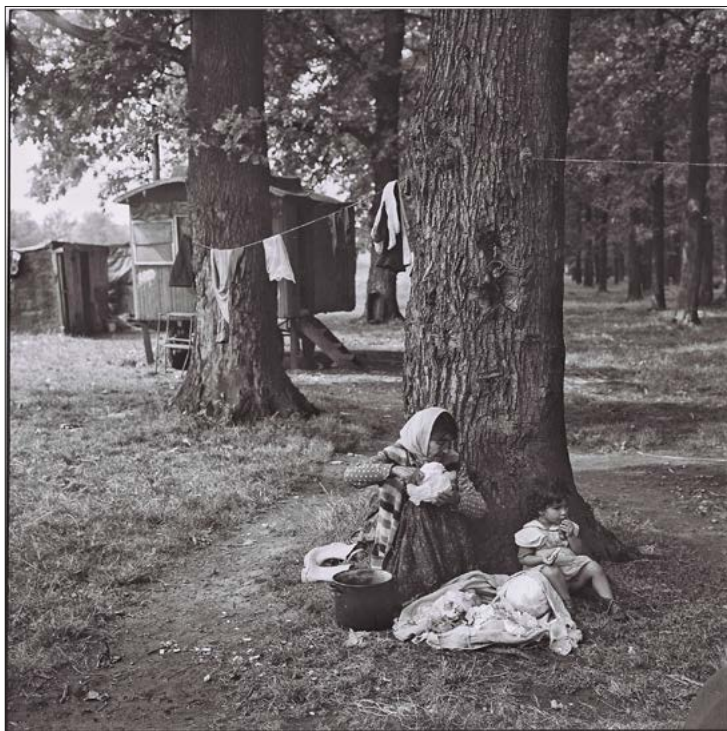


Fot. 3. Na targu końskim w Czarnej Białostockiej. Fot. L. Mróz

Nie wchodząc w szczegóły, chcę krótko odnieść się do opisanych sytuacji z Czarnej Białostockiej i podwarszawskiego Burakowa. W opinii Polska Roma, Kelderaszów i Lowarów, Cyganie z gór są nieczyści; określane są jako *tabance* (czyli właśnie nieczyści). Nie wolno z nimi jeść ani pić, by samemu nie skalać się. Małżeństwa pomiędzy pozostałymi grupami są dopuszczalne, ale związek z osobą z Cyganów górskich wyklucza z własnej wspólnoty. Mężczyzna towarzyszący kobiecie z Cyganów górskich, żyjący z nią, tym samym także jest nieczysty.

Nie jest łatwo wyjaśnić, dlaczego nie dotyczyło to mnie, dlaczego mogłem pić z tego samego kieliszka i potem pili inni, dlaczego jadłem ze wspólnej misy, bez obawy moich gospodarzy o skalanie. Zasadniczo nie-Cyganie, *gadze*, nie kalają, nie są ludźmi w takim sensie, jak Cyganie. Jednak niektórzy, będący w zasadzie ludźmi, swoim sposobem życia, niezgodnym z zasadami (dostyc różnicowanymi w różnych grupach i niełatwymi do opisanie) nie są godni, by z nimi jeść i pić,

oni mogą skalać. Tak, jak Cyganie górscy. Są oni od dawna osiadli, nie wędrowali jak pozostałe grupy, jedzą koninę, co jest uznane za najistotniejszy element ich stygmatyzacji. Przy okazji oskarża się ich o jedzenie psów i padliny, itd. Jedzenie koniny dopiero od niedawna wychodzi z praktyki. Przez długie lata po wojnie w Zakopanem i Nowym Targu istniały końskie jatki, a miejscowi Cyganie byli stałymi kupującymi. Jest sporo świadectw tego, że z biedy jadali także padłe chore zwierzęta. Konina to mięso, którego jedzenie jest całkowicie zabronione. Dlaczego? Nie wiadomo dokładnie, czy jest to wynikiem stosunku do zwierzęcia ważnego w wędrownym życiu, czy decydują inne względy.



Fot. 4. Obóz pod Żywcem. Ten wóz był prawdopodobnie ostatnim w Polsce przedwojennym wozem cygańskim. W 1982 r. stojące w tym lesie dwa wozy, w których mieszkali Cyganie, spalili robotnicy budujący nieopodal hotel, którzy wykorzystali sytuację, gdy przy wozach pozostali tylko stary mężczyzna i dziecko, gdyż mieszkańcy poszli po zakupy. Fot. L. Mróz

W przypadku *gadźów* także nie jest oczywiste, dlaczego nie kalają. Lecz nawet nie kalając, nieczęsto są dopuszczani do wspólnoty jedzenia i picia. Przez wiele dziesięcioleci, przed i po wojnie, małżeństwa z nie-Cyganami były zabronione, podobnie jak jedzenie i picie. Obecnie te zasady znacznie osłabły, lecz w czasie wędrowania i kilkanaście lat po osiedleniu, jeszcze były żywe i powszechne. Decyzja w tej kwestii należy do głów rodów, to oni decydują, kogo można dopuścić do wspólnoty.



Fot. 5. Spotkanie rodzinne na postoju w lesie pod Krakowem. Fot. L. Mróz

Wróćę jeszcze do rozbitego kieliszka i talerzy, by wyjaśnić rozumienie zachowania osób, które te przedmioty zniszczyły. Cyganie w Europie posługują się kilkudziesięcioma dialektami. W Polsce są w użyciu cztery dialekty. Tam, gdzie mieszkają przybyli w ostatnich latach Cyganie rumuńscy, dochodzi ich dialekt. Różnice między dialektami sprowadzają się czasami do słownictwa czy wymowy. Najbliższe sobie są dialekty lowarski i kełderaski, w słownictwie Polska Roma jest wiele zapożyczeń z niemieckiego i polskiego. Jednak porozumienie się pomiędzy grupami jest w zasadzie możliwe, nawet z górkimi. *Romani chib* (język cygański) Lowarów, Kełderaszy i Polska Roma dysponuje odmiennymi słowami na określenie różnego rodzaju brudu. Ubrudzone dziecko czy dorosły jest *mełato*, ale wystarczy miska z wodą, by zmyć brud i osoba jest czysta. Ktoś, kto dopuścił się czynu nagannego, popełnił jakiś czyn niegodny, sprzeczny z zasadami, jest *magerdo* (lub *mahrime* – zależnie od dialektu). Nieczysty w innym znaczeniu. Zwierzchnik grupy decyduje o formie zadośćuczynienia, naprawienia występku i długości czasu odosobnienia od grupy. Potem ma miejsce symboliczne powtórne przyjęcie do grupy, wypowiedaną przez zwierzchnika formułą: „już możesz jeść i pić z Cyganami”, po czym odbywa się wspólne biesiadowanie na koszt osoby, która była *magerdo*. W przypadku przedmiotów takie oczyszczenie nie jest możliwe, należy je zniszczyć, by nikt nie został nimi skalany.

W pierwszej połowie lat osiemdziesiątych kilkakrotnie byłem w obozach Galicjaków, najczęściej niedaleko Wieliczki. Namiot rozbijałem w obozie, gdyż zwykle zostawałem u nich kilka dni. Blisko stąd było do miasta i niedaleko do innych miejscowości, np. Gdowa, dokąd kiedyś pojechałem na odpust,

towarzysząc dwóm kobietom (odpust dawał okazję do zarobku wróżbą). Jedyną niedogodnością było, że musiałem zajmować się kilkuletnim synem jednej z nich, nadzwyczaj ruchliwym chłopięciem, a plusem było to, że dzięki temu mogłem być blisko i fotografować.

Kiedyś zaprosili mnie, bym przyjechał na chrzciny trójki dzieci jednej z rodzin z obozu Galicjaków. Wynajęli remizę strażacką i w niej, po powrocie z kościoła, urządzili przyjęcie i tańce. Najciekawsze dla mnie było to, że wynajęli orkiestrę cygańską. Sami nie muzykowali, zarabiając handlem. Orkiestra składała się z Cyganów górskich. W Nowym Targu, Zakopanem, a także w Nowej Hucie (dokąd przeniosło się kilkanaście rodzin z gór) były cygańskie kapele, wynajmowane przez miejscowych na wesela i inne uroczystości. Dla orkiestry zbudowano specjalny podest koło remizy, tam stały odrębne stoły z jedzeniem i pićm. Nie było wspólnego biesiadowania. Natomiast tego rodzaju bliskie kontakty Galicjaków z Cyganami górskimi są powodem, że dla wielu pozostałych Cyganów Galicjaki nie są prawdziwymi Cyganami, nie są całkiem czyści. Dlatego przez pewien czas *Szero Rom* nie pozwalał im się odwiedzać. Coroczne odwiedziny są powinnością głów rodów zaliczanych do Polska Roma.

„Tak przeznaczone, tak musi być”

Po raz pierwszy te fatalistyczne słowa usłyszałem w połowie lat siedemdziesiątych XX w. u Chaładytka Roma. Wypowiedziała je kilkuletnia dziewczynka, gdy odwiedziłem jedną z rodzin w Siematyczach. Rozmawialiśmy o szkole, do której chodziła. W klasie siedziała sama, bowiem żadne dziecko nie chciało z nią siedzieć. Dzieci, zwłaszcza chłopcy, dokuczali jej, wyśmiewali się z niej. Poskarżenie się wychowawczyni, także skarga rodziców, nic nie dały. Wtedy właśnie kilkuletnia Róża powiedziała, ze spokojnym smutkiem w głosie: „Tak przeznaczone, tak musi być”. Słyszałem ten zwrot kilkakrotnie. Szczególnie zabrzmiał, gdy po latach znów usłyszałem w rozmowie: „Tak przeznaczone, tak musi być”. Było to w obozowisku Polska Roma, w początku stanu wojennego. Kilka rodzin, wraz z zaprzyjaźnionym H., rozbiło namioty na polanie, przy dawnym Porcie Praskim w Warszawie. Stąd mieli blisko na bazar i dobry dojazd do centrum. Później tędy poprowadzono drogę do Mostu Świętokrzyskiego i trzeba było zmienić miejsce obozowania. Kiedy rozmawialiśmy, podszedł około 40-letni mężczyzna, mówiąc, że ma sprawę. Otóż jego żona była chora, przeszła badania i lekarz zalecił operację w szybkim terminie. Dodał przy tym, że nie będzie już mogła rodzić. Mężczyzna poprosił, bym zabrał papiery i spytał innych lekarzy, co trzeba zrobić. Niestety potwierdziła się diagnoza, konieczne okazało się szybkie usunięcie macicy. Inaczej kobieta prawdopodobnie niedługo umarłaby. Wróciłem z tą opinią do obozowiska. „To ona już nie będzie kobietą” – powiedział jej mąż. Staralem się wytłumaczyć, że operacja jest konieczna. „To ona nie będzie już kobietą” – powtarzał. Tłumaczyłem mu, że ważniejsze, by żyła, mają już troje dzieci. Moje tłumaczenie nie skutkowało. Kobieta jakby była pogodzona z werdyktem.



Fot. 6. H. wiąże ręce młodych, od tej pory są małżeństwem; obóz na terenie dawnego Portu Praskiego w Warszawie. Fot. L. Mróz

Poprosiłem H., starszego tej grupy, by wsparł moje tłumaczenia swoim autorytetem szanowanego Cygana. „Nie mogę” – usłyszałem. – „To sprawa rodziny, to jego żona”. Widocznie „tak przeznaczone, tak musi być”. Trudno mi było to zrozumieć.

Po kilku miesiącach znów byłem w obozowisku H. Tym razem koczowali w nadwiślańskich łęgach, na północ od Warszawy, niedaleko wsi Buraków. Rozmawialiśmy o tym, co się zdarzyło w czasie tych miesięcy, u nich i u mnie. Dowiedziałem się, że chora kobieta już nie żyje. Na moje pytanie o jej męża i dzieci, H. odpowiedział, że po jej śmierci mąż zaczął pić, coraz częściej nadużywał wódki, zaniedbywał dzieci. H. musiał go ostrzec, że daje zły przykład, że jego zachowanie jest złe, widzą to inni, to jest niedobre dla jego dzieci i rodziny, niedobre też całej grupy. Zagroził mu skalaniem.

Przywołując sobie sytuację sprzed kilku miesięcy i obecną, zastanawiałem się nad problemem etycznym dopuszczalnej interwencji i ingerencji badacza, nawet jeżeli jest zaprzyjaźniony i zauważa potwierdzenie tego zaprzyjaźnienia. Z jednej strony zagrożenie życia kobiety i tragedia jej rodziny, i bliskich, nie spowodowały jednak interwencji osoby będącej autorytetem grupy, dlatego że byłoby to podważenie roli męża kobiety, głowy rodziny; z drugiej strony ten sam autorytet interweniował, powodowany troską o całą grupę i dzieci zmarłej, którym mężczyzna swoim zachowaniem dawał zły przykład.

Czytanie drogi

Osiedlenie doprowadziło w ciągu kilku lat do istotnych zmian nie tylko w sposobie życia, ale też w kulturze cygańskiej. Wędrowanie określało zakres wiedzy koniecznej do życia: zarówno codzienną umiejętność przemieszczenia, znajomość geografii i miejsc ważnych z uwagi na możliwości zarobkowe, umiejętność wyboru miejsca do założenia obozowiska, jego rozplanowania, jak i wiele innych umiejętności niezbędnych w życiu wędrownym. Osiedlenie doprowadziło z czasem do wyrzeczenia się wielu elementów kultury, nieprzystających do nowego życia i innych warunków.



Fot. 7. Obóz koło wału wiślanego, na północ od Warszawy. Fot. L. Mróz

W połowie lat siedemdziesiątych XX w. jechałem z rodziną lowarską wozem w kierunku Radzyna Podlaskiego. To nie był wóz mieszkalny, ich wóz stał na milicyjnej działce pod Międzyrzecem Podlaskim. Jechaliśmy odkrytym wozem, bo taki nie przyciągał wzroku milicji i jej lokalnych informatorów. Po kilkunastu kilometrach, przed rozwidleniem dróg, R. powiedział „Popatrz, *špera*, ktoś jechał przed nami, skrzyłi w prawo”. Splątany, zakrzywiony wiecheć słomy, leżący na poboczu, mógł zwrócić uwagę i zostać „odczytany” tylko przez kogoś, kto był wędrowcem cygańskim i jechał wozem. Przez kilka lat jeszcze pamiętano o umiejętności czytania drogi, o zasadach i zakazach towarzyszących życiu wędrownemu.



Fot. 8. Obóz pod Wieliczką. Fot. L. Mróz



Fot. 9. Poranna toaleta – obóz pod Wieliczką. Fot. L. Mróz



Fot. 10. Spotkanie rodzinne przy grobach bliskich, cmentarz na południe od Krakowa.
Fot. L. Mróz



Fot. 11. Studenci w osadzie górskich Cyganów, na Spiszu. Fot. L. Mróz

Wraz z upowszechnieniem się wśród Cyganów samochodów, znajomość tego języka znaków okazała się zbędna. Czytanie ich byłoby niemożliwie przy szybkiej jeździe. W tamtym czasie jednak Cyganie jeszcze próbowali przemieszczać się wozami chłopskimi, dlatego nieraz pozostawiali znaki dla bliskich, jadących za nimi. Nowoczesność, poruszanie się samochodami, telewizja i rozwój telefonii, pogrzebały znaczne obszary kultury cygańskiej.

Apendyks

Kiedyś, pod koniec lat siedemdziesiątych, czy też w roku 1980, w czasie kolejnej bytności w Siemiatyczach, zostałem przywitany słowami: „Dawno ciebie nie było, a my mamy dla ciebie prezent.” Kiedyś usłyszeli w telewizji, że chcąc uchronić dobytek przed rozgrabieniem przez wojsko w czasie przejścia frontu, właściciele dworców i zamożniejsi mieszkańcy miasteczek zakopywali co cenniejsze rzeczy gdzieś na terenie obejścia. Jedna z nieopodal stojących przydzielonych im chat była częścią jakiegoś drobnoszlacheckiego dworku. Postanowili więc sprawdzić, czy poprzedni właściciele czegoś nie ukryli. Przekopując ziemię w przylegającej do budynku drewnitni, znaleźli srebrne przedmioty – głównie sztucce. Był między nimi przedmiot, którego znaczenia nie mogli się domyślić. Pojechali na bazar do Białegostoku. Sprzedali zastawę; kupujący chciał odkupić także ów nieznany im przedmiot. Spytali, co to jest. Usłyszeli, że kałamarz, że tam nalewano atrament i maczano pióro. Nie sprzedali go, uznali, że kałamarz mnie podarują. „Bo ty dużo piszesz, to tobie się przyda” – taka mniej więcej wypowiedź towarzyszyła wręczaniu mi prezentu. Nie jest istotne, że ten XIX-wieczny szklany kałamarz, z metalowym wieczkiem, mógł być już tylko ozdobą, ładnym przedmiotem, bowiem nie tylko ja, lecz i oni od dawna używali długopisów, a nie piór atramentowych. Dla mnie ważne było to, że nie sprzedali go, lecz postanowili mnie go podarować. Tego rodzaju gestów przyjacielskich doświadczyłem więcej. Kiedyś, w obozowisku pod Warszawą, siedziałem przed namiotem z rodziną Cyganów z Jędrzejowa, z grupy Polska Roma. Z miasta wróciła grupa kobiet i mężczyzn, między innymi J. – starszy, poważany Cygan, zwierzchnik tych z Jędrzejowa, z którym byłem zaprzyjaźniony. Lubiliśmy się. Usiadł przy nas i podał mi przedmiot, w którym rozpoznałem światłomierz fotograficzny. Dodał: „Kupiłem na bazarze, może od złodzieja; ty dużo fotografujesz, to ci się na pewno przyda”. Był to profesjonalny, drogi światłomierz, jakiego nie byłbym w stanie sobie kupić. Nie wiem, ile zapłacił. Ważny był jego gest i życzliwa pamięć. A światłomierz służył mi długie lata.

Literatura – wybrane prace

- Helfer, J., Mróz, L. (2005). *Cyganie – Romowie. Zapomniane obrazy*. Warszawa: Wydawnictwo DiG.
- Mróz, L. (1979). Les Chaladytka Roma. Tsiganes de Pologne. *Études Tsiganes*, 1, 20–26.
- Mróz, L. (1990). Les Lohar, les Banjara et le probleme de l'origine des Tsiganes. *Études Tsiganes*, 1, 3–14.
- Mróz, L. (1992). *Geneza Cyganów i ich kultury*. Warszawa: Wydawnictwo Fundacji „Historia pro Futuro”.
- Mróz, L. (2001a). *Dzieje Cyganów-Romów w Rzeczypospolitej XV-XVIII w.* Warszawa: Wydawnictwo DiG.
- Mróz, L. (2001b). Poland: The Cash of Tradition and Modernisty. W: W. Guy (ed.), *Between past and future. The Roma of Central and Eastern Europe (252–267)*. Bristol: University of Hertfordshire Press.
- Mróz, L. (2008). You can't eat with two spoons. Gypsy leaders in the face of contemporaneity. W: L. Mróz, A. Posern-Zieliński (ed.), *Exploring home, neighbouring and distant cultures* (s. 101–122). Warsaw: DiG.
- Mróz, L. (2015a). *Roma – Gypsy Presence in the Polish – Lithuanian Commonwealth 15th – 18th Centuries*. Budapest-New York: Central European University Press.
- Mróz, L. (2015b). The Trans-Altai Torgut and Bulgan after Forty Years. W: L. Mróz, M. Ząbek (ed.), *Invisible Boundries: Studies on Ethic Issues. Ethnologia Polona*, 36(216), 31–51.
- Mróz, L., Posern-Zielinski, A. (ed.) (2008). *Exploring home, neighbouring and distant cultures* (s. 101–122). Warsaw: DiG.

SUMMARY

„I shall tell you now”: overcoming boundaries as a practice

The article presents an account of the author's research path, following subsequent stages of the relationships formed between the author and the Gypsy-Roma people from the Chaladytka Roma group and the Polska Roma group. The description focuses on overcoming barriers of strangeness and cultural difference, and discusses different phases of rapport-building and developing mutual trust, along with their impact on the author's access to various family and social situations. The author reflects on the characteristics that regulate the functioning of the group, its internal rules and hierarchies, as well as attitudes towards other Gypsies-Roma people. The article highlights some changes in the life of Gypsy-Roma people in Poland following forced settlement and transition to a settled lifestyle.

Keywords: Gypsy-Roma people, barriers, rapport-building, leader

Przeł. Agnieszka Bednarek-Bohdziewicz